

Rowerem do Transylwanii: relacja

Data publikacji: 25.08.2009 7:20

Podobnie jak w zeszłym roku, kilku cyklistów ze Skoczowa wraz z przyjacielem z Cieszyna wybrało się w długą podróż po europejskich szlakach. Tym razem rowerzyści odwiedzili Transylwanię, łącznie przebywając dystans 734 kilometrów. Trasa wiodła z Koszyc na Słowacji przez Węgry do Rumuni w region Transylwanii.

W wyprawie, podobnie jak w zeszłym roku wzięli udział: Mariusz Machej , Arben Agusi, Dariusz Szindler, Andrzej Wróblewski oraz Tomasz Tomica z Cieszyna i pierwszy raz w ekipie - Krzysztof Machej.

Był to kolejny wyjazd tej załogi. W zeszłym roku przebyli dystans ze Skoczowa do Wiednia i Bratysławy szlakiem Greenways. Warto zaznaczyć, że Andrzej Wróblewski jeszcze tego roku, miesiąc wcześniej zaliczył samotny przejazd na dystansie Białystok – Wilno – Suwałki, łącznie: 618 km.

Uczestnicy swoimi przygodami na trasie postanowili podzielić się z czytelnikami Portalu OX.PL. Relację uzupełnia bogaty w zdjęcia fotoreportaż. Zapraszamy!

[Zobacz fotoreportaż>>>](#)

Relacja z wyprawy:

Tym razem trasa nie była dokładnie wyznaczona, wiedzieliśmy, że chcemy dotrzeć do Transylwanii ale punkty docelowe wybieraliśmy każdego dnia patrząc na mapę, oceniając dystans oraz pozostały czas wyprawy. Rumunia jest bardzo ciekawym krajem, jeszcze pełnym kontrastów, ale pewnie już nie długo. Większe miasta w Rumunii nie różnią się niczym od naszych, jedynie jeszcze na wioskach w szczególności w górach można znaleźć to, czego się najbardziej szuka się na takiej wyprawie, czyli braku natrętnej cywilizacji. Tu ludzie żyją wolniej, z pracy własnych rąk, uprawy ziemi i bydła. Jeżdżą na koniach, osiołkach oraz używają wołów do ciągnięcia wozów. Ludzie są życzliwi i uśmiechnięci, często zdziwieni pojawieniem się takiej grupy obcokrajowców na rowerach. Tutaj w górach czuje się swobodę, piękno i surowość tego kraju. W Rumunii można rozbijać się na dziko i nie grozi za to żadną grzywna tak jak jest to w innych krajach.

Irytują jedynie zgraję bezpańskich psów , które często nas atakowały.

Poniżej dokładna relacja trasy dzień po dniu:

08.08.Sobota Koszyce – Tokaj, dystans: 108 km

7.10 Przyjeżdżamy pociągiem na stację w Koszycach na Słowacji. Okazuje się że Darkowi zginął aparat fotograficzny, który zostawił w przedniej sakwie razem z rowerem

7.30 Robimy sobie pamiątkowe zdjęcia na placu w Koszycach i wyruszamy w trasę

9.35 Przekraczamy granicę słowacko-węgierską koło miejscowości Tornynosnémeti i robimy sobie pamiątkowe zdjęcia. Zjeżdżamy z głównej drogi i wjeżdżamy do miasteczka.

9.50 W pobliskim parku, znajdujemy drewnianą wiatę i zjadamy zapasy żywności przywiezione z Polski. Jedziemy dalej na Gönc. Teren na razie płaski.

10.50 Göncruszka. Skoro dotarliśmy do Węgier, trzeba to uczcić kufelkiem tutejszego piwa. W małej, wioskowej knajpce zamawiamy (na migi) 6 piwek – dla każdego po jednym i wznosimy toast za dalszą drogę. Teren zaczyna lekko falować, zdarzają się nieduże podjazdy.

12.30 Po lewej stronie drogi, zauważamy ruiny zamku. Lekko korygujemy obraną trasę i jedziemy pozwiedzać zamek Boldogkö Vára. Dojeżdżamy do niego stromym podjazdem. Ostatni przyjeżdża Krzyś . Po krótkim odpoczynku zwiedzamy zamek (wejściówka 600 Ft), podziwiamy wspaniały widok na okolicę roztaczający się z murów zamczyska i jedziemy dalej kierując się na Abaújszántó

16.00. Słońce praży niemiłosiernie. W miejscowości Tállya zatrzymujemy się na posiłek. Miło się siedzi pod parasolkami, ale niestety trzeba jechać dalej. Kierunek Tracal.

17.40 Dojeżdżamy do drogi nr 33, na której obowiązuje zakaz poruszania się rowerów. Ścieżka rowerowa gdzieś ginie, ale z mapy wynika że za 1 km będzie zjazd. Jedziemy drogą. Z daleka widać już obsadzone winnicami wzgórza

Kopasz hegy (Tokaji hegy), to niechybny znak że zbliżamy się do Tokaju.

19.30 Tokaj, szukamy campingu, który znajdujemy po przejechaniu prawie całego miasta. Camping położony nad brzegiem Cisy jest taki sobie, ale robi generalnie pozytywne wrażenie.

20.40 Idziemy poznać okolice. Tokaj to małe urokliwe miasteczko o 5 tysięcznej populacji, będące stolicą słynnego regionu winiarskiego, pełne turystów (bardzo dużo rodaków) i urokliwych winiarni. Na rozmowach w jednej z nich miło spędzamy resztę wieczoru.

09.08. Niedziela Tokaj – Mateszalka, dystans: 110 km

10.00 Pobudka, śniadanko, wyjeżdżamy z campingu i kierujemy się na Rakamaz, a potem trasą równoległą do koryta Cisy, na Ibrány i Nagyhalász. Znaczną część trasy pokonujemy asfaltowymi ścieżkami rowerowymi biegnącymi wzdłuż drogi. Bardzo przyjemna jazda.

11.10 Po godzinie jazdy słońce zaczyna dawać się we znaki, na szczęście zauważamy coś w rodzaju małego portu i restaurację umieszczoną nad małą zatoczką, połączoną kanałem z Cisą. Czas na sör, czyli schłodzony napój, oczywiście korso, czyli duże ;). Zamawiamy jeszcze zupkę gulaszową lub rosół z kluseczkami i wyjeżdżamy w dalszą drogę.

13.50. Patrząc na ścieżki rowerowe wytyczone na mapie dochodzimy do wniosku, że trasa „nieco kluczy” i trzeba ją skorygować. W Nagyhalász zagaduję tubylców o drogę do Tiszarád, jakimś cudem zrozumieli bez zbytecznego wymachiwania rękami, pokazują drogę i jedziemy. Dojeżdżamy do Tiszarád, generalnie teren jest płaski, rolniczy. Na mapie jest zaznaczona ścieżka. Na chybił trafił odnajdujemy ją i brnąc w trawie skracamy sobie drogę. Jestem tak z siebie zadowolony, że po wjechaniu do następnej wioski, zapominam że trzeba jechać prosto i skręcamy w kierunku Kemecs. Na szczęście w moim błędzie zorientował się tylko Tomasz.

15.00 W Kemecs'e znajdujemy całkiem fajny bar. Zamawiamy coś do picia. Z sąsiedniego stolika zagaduje po angielsku jakiś Węgier. Po fladze zorientował się że jesteśmy z Polski, opowiada że ma przyjaciół w Krakowie i prosi, czy może sobie z nami zrobić zdjęcie. Jasna sprawa że może.

15.20 Dojeżdżamy do Nyirbogdány. No cóż, żeby nadrobić ten skrót na którym nic nie zyskaliśmy decydujemy się na jazdę drogą nr 4, jakieś 4 km, do Székely. Na każdym wjeździe na drogę stoi jak wół znak informujący o zakazie wjazdu rowerów, jak nas złapie policja ciężko się będzie wytłumaczyć że nie wiedzieliśmy. Raz kozie śmierć! Jedziemy. Ile sił w nogach przejeżdżamy cały odcinek. Udało się! Kierujemy się na Baktalórántháza.

17.30. Baktalórántháza. Mamy jechać na Rohod ale nie możemy znaleźć drogi. Pytamy napotkanych Węgrów. Oczywiście nie znają angielskiego, ale tłumaczą (a przynajmniej tak zrozumieliśmy) że trzeba jechać prosto, a za przystankiem autobusowym w lewo. Jedziemy, jedziemy, przystanku nie ma. Dojeżdżamy już do kolejnej miejscowości. Coś się nie zgadza z mapą. Pytamy kolejnych tubylców, pokazują że trzeba jechać dalej. Hm, no dobra, jak trzeba to jedziemy, ale bez przekonania. Po chwili widzimy przed sobą zatrzymujące się auto, wychodzi z niego ten sam człowiek, który pierwszy raz pokazał nam drogę. Ruchem ręki wskazuje nam gdzie mamy jechać. Wjeżdżamy na prawidłową drogę. Długa prostka, teren równy, wokół sady a potem mały laszek. Jedzie się naprawdę miło. Na ostatnich 300 m drogi nie ma asfaltu, tylko piasek. Docieramy do biednej wsi, chyba zamieszkałej przez Romów. Po wyjechaniu z wioski wjeżdżamy na drogę nr 59 prowadzącą do miasta Mátészalka. Ruch na drodze się wzmacnia, pełno samochodów na rumuńskich tablicach, całe szczęście że przynajmniej w miasteczkach wzdłuż drogi są ścieżki rowerowe. Rumuni w samochodach machają nam i trąbią, jedna dziewczyna nawet robi nam zdjęcia (!).

18.45 Wzdłuż drogi ludzie sprzedają swoje płody rolne. Zatrzymujemy się przy straganiku z brzoskwiniami. Nikogo przy nim nie ma. Dopiero po czasie przychodzi sąsiad z naprzeciwka i szuka gospodyni. Przychodzi pani, sprzedaje nam brzoskwinie. Tak soczystych i smacznych u nas w kraju chyba nie ma. Chcą nam jeszcze sprzedać paprykę, ale pokazujemy że nie mamy miejsca. Mężczyzna coś się nas pyta, domyślamy się, że chodzi mu o to gdzie jedziemy. Mówimy że do Rumunii, na co kobieta mówi „Jesusz Marja”. Dziękujemy za brzoskwinie, żegnamy się i ruszamy w dalszą drogę.

19.40 Dojeżdżamy do Mátészalka. Wydaje nam się że to duże miasto, może wielkości Bielska, w rzeczywistości liczy 18 tys. mieszkańców. Tu mamy być kamping, przynajmniej tak jest napisane na mapie. Zaczynamy pytać napotkanych ludzi o niego, lecz każdy twierdzi że takiego czegoś tu nie ma. Na początku myśleliśmy, że tubylcy o tym nie wiedzą, bo kto np. w Skoczowie wie gdzie jest kamping. Po czasie jednak dochodzi do nas smutna prawda: kampingu nie ma, co więcej, nie ma jeziora w pobliżu miasta, które wg mapy miało tam być. Od tej pory nie wierzymy do końca już mapom.

20.00 Znajdujemy Tesco. Powoli ściemnia się a niebo zaczyna się chmurzyć. Robimy zakupy, jemy gyrosa z budki przy wejściu do sklepu i zastanawiamy się co dalej. Właściwie mamy dwie możliwości: albo rozbić się u gospodarza albo rozbić się gdzieś na dziko. Pierwsza opcja odpada, bo kto przy zdrowych zmysłach wpuści po nocy do swojego obejścia sześciu obcojęzycznych facetów. Zostaje biwak na dziko. Analizujemy mapę i wybieramy teren nad rzeczką koło lasu. Zapadł zmierzch. Jedziemy 5 km za miasto, ruch na drodze nie specjalnie maleje, więc jazda nie należy do

najprzyjemniejszych. Jak to zwykle bywa w takich przypadkach to co na mapie wyglądało na teren dogodny do biwaku, w rzeczywistości jest porośnięty bardzo wysoką trawą i chaszczami, na którym nie ma mowy o rozbiu namiotu.

20.30 Tomasz pojechał sam na rekonesans i wrócił z wiadomością że znalazł dobre miejsce na biwak. Tym dobrym miejscem okazało się droga między polami. Odjechaliśmy około 200 m od głównej drogi, z braku lepszej alternatywy rozłożyliśmy się na drodze. Ponieważ noc była ciepła, a chmury zniknęły zdecydowaliśmy się na spanie pod chmurką, tym bardziej że na drodze nie można się było specjalnie rozbić, a obok rozpościerały się chaszczki i zaorane pole.

10.08. Poniedziałek Mátészalka – Satu Mare - Arduşat, dystans: 108 km

6.20 Podbudka. W nocy spadła rosa, więc śpiwory są wilgotne. Przy świetle dziennym widać że 20 m obok nas rozpoczynała się równa, świeżo skoszona łąka - idealne miejsce na rozbiu namiotów. No cóż, w świetle latarek wyglądało to całkiem inaczej. Jemy śniadanko i w drogę

8.00 Wjeżdżamy do miasteczka Kocsord, robimy zaopatrzenie w sklepie i kierujemy się do Tunyogmatolcs.

9.00 Wjeżdżamy na wał przeciwpowodziowy rzeki Szamos. Mamy do przejechania 22 km całkowitego off-road'u. Jedzie się przyjemnie, wokół piękne widoki na lasy, pola i sady, słońeczko coraz mocniej grzeje, ale kilometrów nie ubywa, bo na polnej drodze nie można rozwinąć takiej szybkości jak na asfalcie.

10.40 Z mapy wynika że na drugą stronę rzeki można się przeprowić promem. Jeżeli po drugiej stronie jest też taka dróżka po wale, jak ta po której teraz jedziemy, znacznie skróciło by nam to drogę. Jedziemy na prom! W końcu u nas nie ma takich atrakcji. Przejeżdżamy promem na drugą stronę, dopiero teraz widać jaka głęboka i rwąca jest w tym miejscu rzeka. Opłata za przejazd na rowerze wynosi 70 Ft. Jedziemy dalej wałem, na nim też jest polna ścieżka.

11.40 W końcu zjeżdżamy z wału do miejscowości Szamosbecs i zatrzymujemy się w przydrożnym barze na upragnione piwo. Co prawda, nie mam w nim dla nas miejsca, ale przyjemnie siedzi się w cieniu na betonie przed barem. Do granicy zostało 7 km

12.30 Dojeżdżamy do miejscowości Csengersima. Za 3 km granica. Znajduje się tu kilka przydrożnych barów i kramów z owocami. Budki z kantorami zamknięte. Zaraz podchodzą do nas ludzie handlujący walutą, pytając co, ile i na co trzeba wymienić. Na kalkulatorach pokazują jakiś dziwny kurs, szybko przeliczają ile byśmy dostali za 1000 Ft. Na myśl przyszły nam wspomnienia o Polskich cinkciarzach. Darek mówi, że trzeba uważać bo w Rumunii była ostatnio wymiana i mogą nam sprzedać starą walutę jak nową. Rezygnujemy z ich usług. Idziemy się posilić do baru – znowu gyros, nic innego tu nie ma. Jedząc gyrosa i popijając kawkę (tu podaje się takie małe kawki, na dwa łyki) obserwujemy cinkciarzy, i o dziwo, okazuje się, że każdy samochód czy autobus staje i wymienia u nich walutę. Po kilkunastu minutach nabieramy przekonania, że osobników tych nie należy nazwać cinkciarzami ale raczej jednoosobowymi mobilnymi kantorami. Wymieniamy u nich forinty na leje. Okazuje się że po przeliczeniu 1 lej (RON) wychodzi 1.08 złotych (PLN) – w kraju w kantorach trzeba było zapłacić 1,3 PLN za 1 RON.

13.40 Przejeżdżamy przez granicę. Na granicy jeszcze pobieżna kontrola – Rumunia jest w UE ale nie należy do strefy Schengen. Jedziemy sobie zrobić zdjęcia pod tablicą z nazwą kraju. Arben wyciąga flagę Skoczowa i robimy sobie pamiątkowe zdjęcia. I w drogę! Już po kilkuset metrach widać że krajobraz się zmienił. Domy i obejścia uboższe. Dużo zaczętych i niedokończonych budynków. Dużo starych i niszczących. Bałagan i brud wokół zabudowań.

14.30 Po 12 km dojeżdżamy do Satu Mare, ponad 100-tysięcznego miasta. Na pierwszy rzut oka widać, że żyje się tu lepiej niż na wsi. Miasto wydaje się wyglądać jak jedno z wielu dużych polskich miast. Centrum ładne, z pięknym parkiem i fontanną w centrum, która daje lekkie ukojenie w ten bardzo gorący dzień. Siadamy w restauracji z ogródkiem, zamawiamy tutejsze piwo – Ursus. Po chwili pojawiają się zebrzące dzieci, jesteśmy na to przygotowani, zgodnie z tym co wyczytaliśmy w „necie”, mamy cukierki - polskie krówki.

15.00 Patrzymy na nasze zegarki jest 15.00 a na zegarze w centrum 16.00! Darek wyjaśnia, że w Rumuni mają czas wschodnioeuropejski.

15.30 Wyjeżdżamy z miasta. Zaraz w centrum Darek stwierdził że nie ma powietrza w tylnym kole. Pompujemy i jedziemy dalej. Oznakowanie dróg nie jest rewelacyjne, ale zapytany Rumun pokazał nam drogę na Culciu Mare.

16.10 Czym bardziej od miasta tym drogi stają się gorsze a zabudowania coraz bardziej uboższe. Na drodze pojawia się coraz więcej furmanek i starych Dacii.

16.40 Darek znowu nie ma powietrza w oponie. Trzeba wymienić dętkę.

17.50 Za zakrętem, na środku drogi pojawia się krowa. Jedna, potem druga, trzecia, całe stado. Jedziemy, krowy idą prosto na nas. Ledwo ich objeżdżamy. Stado ciągnie się na długości 200 m. Robimy sobie pamiątkowe zdjęcia.

18.30 Zaczynamy szukać miejsca na nocleg. W Rumunii można się rozbić byle gdzie, ale jak to „byle gdzie” znaleźć. Zaczynamy pytać się tubylców o kamping. Mężczyzna łamaną „angielszczyzną” mówi że jest „super camping”, ale gdzieś w okolicach Baia Mare. To stanowczo za daleko. Jedziemy dalej. Spotykamy młodych Rumunów, mówią bardzo dobrze po angielsku, informują nas, że tu nie ma kampingu ale za miejscowością Arduşat, jest miejsce gdzie

ludzie przyjeżdżają na weekendy rozbić się nad rzeką. To jest pomyślna informacja! Jedziemy.

19.30 Dojeżdżamy do Arduşat. Pytamy tubylców. Nie rozmawiają po angielsku, ale zrozumieli o co nam chodzi, pokazują że jeszcze 2-3 km.

20.00 Dojeżdżamy do miejsca biwaków Rumunów. Jest to łąka nad rzeką Szamos, zaraz koło mostu. W oddali widać jeden rozbity namiot. Bez zbędnego ociągania znajdujemy miejsce, rozbijamy namioty i przygotowujemy jedzenie. Idziemy się umyć w rzece. Woda jest ciepła, rzeka płytka ale nurt rwący. Popływać to tutaj nie idzie, ale za to można się wreszcie umyć. Naprawdę jest super.

11.08. Wtorek Arduşat – Dragu, dystans: 92 km

6.20 Pobudka. Jeszcze jedna kąpiel w rzece. Śniadanko i pakowanie „betów”.

8.30 Wyjeżdżamy. Po przejechaniu 300 m, przy stacji benzynowej, jakaś pani sprzedaje arbuzy. Kupujemy jednego (1kg = 1 RON) i zjadamy na miejscu. Co za smak! Obieramy kurs na miasto Jibou.

9.25 Jedziemy po coraz gorszej drodze. Zbudowana jest z płyt betonowych, żadnych poboczy, żadnych oznaczeń poziomych, dużo dziur i spękań, że o klawiszowaniu płyt nie wspomnę. Po lewej stronie ukazuje się bardzo ładny zajazd. Wśród tych biednie wyglądających domków zajazd prezentuje się całkiem okazale. Skręcamy. W środku też jest całkiem, całkiem, ale my wybieramy taras. Zamawiamy schłodzony napój, ale widzimy że przy stoiku obok klienci zjadają coś smakowicie wyglądającego. Pytam co to jest. Okazuje się że omlet. Zamawiamy. Pycha!

11.00 Dojeżdżamy do miejscowości Ulmeni. Generalnie zabudowanie są biednie a droga marna. Krzyś dostał telefon z firmy i został gdzieś za nami więc czekamy na niego przy sklepie robiąc przy okazji zakupy. Po 20 minutach czekania okazuje się że Krzysia dalej nie ma. Dzwonimy do niego – mówi że minął jakiś kościół po lewej. Hm, my też minęliśmy jakiś kościół (choć kościołów to w Rumunii dużo), pewnie zaraz tu przyjedzie. Po kolejnych 15 minutach znowu do niego dzwonimy – trochę się niepokoi, mówi że ciągle nas nie widzi i stoi przy jakimś moście kolejowym i przy rzece. Jaki most? Jaka rzeka? Gdzie on jest? To niemożliwe, albo nas nie zauważył i jest przed nami, albo pojechał nie wiadomo gdzie. Zakładamy wariant pierwszy, każemy mu stać w miejscu, jedziemy co sił w nogach przed siebie. Po 20 minut spotykamy całego zziąbanego Krzysia – tak nas gonił że aż się zasapał

12.25 Inau. Zauważamy wóz zaprzęgnięty w dwie krowy. Tego jeszcze nie widzieliśmy. Robimy zdjęcia. Ale jak się okazuje, w Rumunii to wcale nierzadki przypadek.

12.56 Dojeżdżamy do Jibou, 12-tysięcznego miasteczka w Siedmiogrodzie, czyli Transylwanii. Miasto raczej brzydkie, z betonowymi, odrapanymi blokami w środku miasta. Szukamy miejsca na odpoczynek, bo słońce daje niemiłosiernie. Znajdujemy restaurację. Zamawiamy zimne napoje. Ja i Tomek zamawiamy ciorbę de burte – wyczytałem w przewodniku, że to jedno z typowych dań rumuńskich. Ciorba de burta to zupa, coś jakby zupa czosnkowa z flaczkami, podawana z kwaśną śmietaną i ostrą papryczką, no i oczywiście chlebem. Rumuni do wszystkiego jedzą chleb – nawet do kotleta z ziemniakami,.

15.00 Wyjeżdżamy kierując się na Zimbor. Dotychczas jeździliśmy bocznym drogami, teraz jedziemy drogą 1G (krajowa?). Trochę się jej obawialiśmy, ale jak się okazało ruch w Rumunii jest mały i na rowerze jeździ się takim drogami bardzo przyjemnie, aczkolwiek trzeba uważać na dziury i inne tego typu niespodzianki. Od Jibou teren zaczyna być coraz bardziej pofałdowany, ale uciążliwość wyjeżdżania pod kolejne góry rekompensują nam wspaniałe widoki.

16.35 Hida. Stajemy w pobliskim supermarkecie. Generalnie obrazek trochę surrealistyczny, Budynek supermarketu całkiem nowoczesny, a zaraz obok stary kurnik, buda od psa, i tym podobne objekty. Przed supermarketem siedzi chłopak, pytamy po angielsku o camping. On nie rozmawia po angielsku, ale zaraz wstaje i odchodzi, a po 5 minutach przyprowadza kolegów. Oni o camping nic nie wiedzą. Pytamy też o drogę do Cluj (czyt. Kluż). Jedna jest międzynarodowa (pewnie duży ruch samochodów), druga prowadzi przez góry. Odpowiadają że tą drugą drogą jeszcze nigdy nie jechali. W międzyczasie pod sklep podjeżdża mercedesem inny Rumun. Krępy, „wycelowany”, „ket” na szyi. Gdy dowiedział się że jesteśmy Polakami woła: ‘Ku.... za...’ :) Mówi też po niemiecku i tłumaczy nam drogę do kempingu, niestety w innym kierunku niż jedziemy.

17.50 Po długim kupowaniu zaopatrzenia w sklepie (każdy miał własne zdanie, a pieniądze były wspólne) wyruszamy boczną drogą w kierunku miejscowości Dragu. Jedziemy betonową drogą przez lekko górzisty teren. Droga powoli pnie się w górę, a z każdym metrem stan jej nawierzchni się pogarsza. Jeszcze kilkanaście minut i już wiemy dlaczego ci Rumuni pod sklepem mówili że nigdy tą drogą nie jechali – nie mieli samochodu terenowego ;)

18.05 Po drodze spotykamy czynną studnię typu „żuraw”. Przy domach w tym rejonie jest wiele starych drewnianych lub metalowych „żurawi”. Niektóre wioski miały studnie z kołowrotami inne z „żurawiami”.

18.15 Wjeżdżamy do Dragu. Bardzo uboga wioska. Droga wygląda jak ser szwajcarski - trochę asfaltu pomiędzy dziurami. Generalnie w tych rejonach, ludzie mają zwyczaj siadania popołudniu przed domami na ławeczkach. Przy tutejszej zwartej zabudowanie domów, wygląda to jakbyś jechali po „wybiegu dla modelek”. Cała wioska ciekawie nam się przygląda, czasami ktoś machnie przyjaźnie ręką.

18.25 O! Następny wehikuł. Jakiś pan jedzie na dwukółce ciągniętej przez osiołka. Jeszcze wiele razy w Rumunii spotkamy osiołki.

18.50 Zabudowania wioski się skończyły a droga coraz bardziej pnie się w górę. Liczyliśmy na nocleg nad jakąś rzeczką, ale trzeba o tym zapomnieć. Prawie na szczycie górkę zauważamy leśną drogę, prowadzimy rowery kilkanaście metrów po tej drodze (jest dosyć stroma) i postanawiamy sprawdzić czy nie można by się tu gdzieś rozbić.

18.55 Znajdujemy fajną polankę w lesie. Takie skrzyżowanie leśnych dróg, pewnie służących drwalom. Na polance widać świeżo ścięte i poukładane pnie drzew, oraz ślady po ognisku. W tych okolicznościach wydaje się to być idealnym miejscem na biwak.

19.10 Nagle, z lasu, wyjeżdża jedna furmanka załadowana drzewem. Przystaje zaraz koło nas. Na wozie siedzi Rumun ze swoim nastoletnim synem. Przyglądamy się sobie ciekawie. Po chwili podjeżdża druga furmanka, też przystaje. Hm, co tu teraz robić. Tomasz chce ich poczęstować alkoholem zakupionym w hipermarkecie, ale wybijamy mu to z głowy. Ponieważ Darek zna włoski (rumuński dla nas brzmi, prawie jak włoski) wysyłamy go aby zagadał z tubylcami. Nie wiem co, ale coś do nich mówi. Wtedy mężczyzna z pierwszego wozu zaczyna się coś tłumaczyć, ja zrozumiałem tylko słowa „tysiąc” i „kubik”. Dopiero po czasie zorientowaliśmy się, że mężczyzna kradł drzewo z lasu, i tłumaczył się, że tego jest tu tak dużo, że ten jego jeden wóz wyładowany drzewem to dla lasu żadna różnica. W każdym razie atmosfera się nieco rozluźniła. Pytam go, na migi, czy możemy postawić tu namioty. No problem – odpowiada. A ognisko rozpaść można? No problem – odpowiada. Z lasu nadjeżdża trzeci wóz. Na nim kobieta, mężczyzna i dziecko. Kobieta widząc, że Andrzej pali papierosa podchodzi i zaczyna go prosić, aby ją poczęstował. Tak robi. Ja wyciągam krówki i częstuję dzieciaki na wozach. Tubylcy żegnają się i odjeżdżają. To już chyba koniec niespodzianek na dzisiaj.

20.00 Rozbijamy namiot i zapalamy ognisko. Pieczemy na nim kiełbaski z supermarketu, które w trakcie pieczenia okazały się parówkami. Dobrze i to. Popijamy sobie to i owo. Jest bardzo, bardzo sympatycznie

12.08.Środa Dragu - Cluj Napoca - Gilâu , dystans: 67 km

7.40 Pobudka. Wstajemy. W nocy padało, to co zapomnieliśmy wczoraj sprzątnąć, dzisiaj jest mokre. Robimy śniadanko – znowu ten pasztet! Zwijamy obozowisko i odjeżdżamy

8.50 Odcinek od biwaku do drogi asfaltowej trzeba przebyć leśną drogą. Po nocnych opadach jest cała mokra, a błoto klei się kół. Rowery momentalnie są całe od błota. Po wjechaniu na drogę trzeba je czyścić, tylko że nie bardzo jest czym. No trudno, byle się jechać na nich dalej dało.

9.30 Jedziemy z górkę. Po drodze zaczynają nas gonić wałęsające się psy, uciekamy im ile sił w nogach. W Rumunii co kawałek można spotkać wałęsające się stada psów. Na to że były szczepione nie ma co liczyć. Lepiej nie myśleć co by było gdy taki pies kogoś pogryzł.

10.00 Dojeżdżamy do Așchileu Mare. Zupełnie inna wioska niż po tamtej stronie góry. Inne budownictwo, droga porządna, powiedziałbym, że wioska jest znacznie bogatsza od tamtej. Zaopatrujemy się w sklepie w wodę i jedziemy szukać jakiegoś baru, w którym można by się posilić

10.50 W Fodora skręcamy w prawo i kierujemy się już na Cluj. Droga pnie się i opada na kolejnych górkach. Baru nie widać

11.12 Tomkowi rozpada się manetka od przedniej przerzutki. Byliśmy przygotowani na wiele możliwych usterek ale nie na taką. Wszyscy stoją bezradnie, nikt nie rozkręcał manetki przerzutki. Na szczęście po kilkunastu minutach Tomkowi udaje się ją złożyć z powrotem.

12.00 Dalej szukamy baru. Spotkaliśmy co prawda jeden, ale tam nie było jedzenia. Wjeżdżamy i zjeżdżamy z kolejnych górek. W czasie jednego ze zjazdów napotykamy tabliczkę z napisem 'Cluj-Napoca', miasta co prawda nie widać, ale taka tabliczka to już coś. Okazuje się że 320-tysięczny Cluj ma bardzo wielkie przedmieścia. Jadąc całym czasem z górkę, wjeżdżamy powoli do miasta. Drogi na przedmieściach wydają się być fatalne- wykonane z płyt betonowych, bez wyraźnego pobocza, nierówne, z licznymi dziurami. Ruch z czasem coraz bardziej się nasila. W końcu docieramy do jakiejś głównej drogi. Ruch tutaj jest naprawdę duży. Jakiś przechodzień wskazuje nam drogę do centrum. Jedziemy. Po drodze omal nie dochodzi do wypadku. Jakiś Rumun, Dacią zajeżdża Tomkowi drogę. Dosłownie musnął jego przednie koło roweru, tak że miałem wrażenie że Tomek nie opanuje roweru i się wywróci. Na szczęście Tomek utrzymał się na rowerze a Rumun pojechał dalej nawet nie zwalniając. Po tym incydencie jeździmy jeszcze bardziej ostrożnie, ale przy takim natężeniu ruchu jazda przestaje być zabawna

12.30 Jesteśmy prawie w centrum. Zostawiliśmy rowery pod dworcem kolejowym i Krzysia na ich straży, idziemy się zorientować, czy nie ma pociągu do Oradei. Przecież od Oradei mamy jechać główną drogą, a przy takim ruchu i przy takich drogach może się to okazać niebezpieczne. Dworzec jest czysty, zadbane, wręcz pachnący, ale nie ma specjalnie jakich połączeń z których moglibyśmy skorzystać.

13.20 Jedziemy do centrum. Decydujemy się na jazdę po chodnikach. Wjeżdżamy na centralny plac w poszukiwaniu

jakieś fajnej knajpki na odpoczynek no i oczywiście posiłek. Architektura miasta specjalnie nie zachwyca. Plac w remoncie, knajpek brak. Dopiero w jednej z bocznych ulic znajdujemy rząd knajpek z parasolkami. Siadamy, zamawiamy coś do picia i do jedzenia. Jesteśmy już trochę wymęczeni.

15.50 Po posileniu się, zwiedzeniu sklepu z pamiątkami, wyruszamy z miasta drogą nr 1 w kierunku Oradei

16.10 Jedziemy za główną drogą, czasami chodnikiem, później już drogą. Jadę pierwszy. Na wiadukcie przede mną zatrzymuje się auto na bukaresztańskich tablicach i włącza światła awaryjne. Po zrównaniu się z kierowcą, ten coś do mnie mówi, pokazując ręką na chodnik, który biegnie między barierkami energochłonnymi a balustradą wiaduktu. O co mu chodzi?

Może trzeba jechać tamtędy a nie drogą? Próbuję go zapytać o co chodzi, na co ten mówi: „Papir, papir!”. Hm, może tu trzeba mieć jakieś zezwolenie na jazdę rowerem po głównych drogach? W każdym razie, żegnam się z nim i przenoszę rower na chodnik. Darek i Tomek jadą za mną, więc kiwam im żeby przeszli też na chodnik. Arben, Andrzej i Krzyś nawet nie wiem kiedy mnie wyprzedzili i czekali dalej. Gdy do nich dotarłem ruszyliśmy dalej i wtedy się okazało że nie mam mapy, którą wozilem z tyłu na worku. Ten „papir” o którym mówił kierowca to była mapa! Zostawiam rower i biegnę w stronę wiaduktu. Na szczęście Darek zauważył mapę i wziął ją ze sobą. Na nieszczęście obaj z Tomkiem porozrywali sobie sakwy na wystających metalowych elementach balustrad.

16.20 Jedziemy dalej główną drogą, wzdłuż której wybudowano rzędy 10-piętrowych betonowych bloków. Po jakimś czasie zabudowania się kończą i jedziemy drogą nr 1 wśród pędzących pojazdów. Do przejechania mamy jeszcze około 15 km. Podczas jazdy często słyszymy trąbienie samochodów. Rumuni często trąbią na rowerzystów żeby po prostu uważali, ale zdarza się że trąbili też polscy kierowcy TIR-ów, którzy widzieli rodaków, a nawet kierowcy aut osobowych na polskich rejestracjach (też kilku udało nam się spotkać)

18.40 Po męczącej jeździe wzdłuż drogi, przy pomocy tubylców udaje nam się znaleźć bardzo porządny camping (co prawda pani w recepcji chciała skasować nas za rowery, tak jak za samochody, ale potem przyszła i oddała pieniądze).

20.15 Bierzymy prysznic i udajemy się do restauracji. Ja zamawiam ciorbę de burtę, reszta kolegów zamawia mamalygę – narodowa rumuńską potrawę z mąki kukurydzianej. Nie wiem czy im smakowało, w każdym razie się nie najedli i chcieli zamówić coś jeszcze, ale kuchnia już była nieczynna.

Krzyś jest dziś bardzo zmęczony, idzie wcześniej spać, a my siedzimy sobie przed namiotami popijając co nieco, gaworzymy do późna w nocy.

13.08. Czwartek Gilău - Suncuiuș, dystans: 87 km

8.40 Pobudka, śniadanko, wyjazd

10.20 Jedziemy dalej drogą nr 1 w kierunku Oradei. Ruch bardzo duży. Droga zaczyna wznosić się ostro pod górę. Może to tylko jedna górka? :)

10.30 Zjeżdżamy z górki i wjeżdżamy do wioski, gdzie wzdłuż drogi ustawione są budki z pamiątkami. Kupujemy drobiazgi i ruszamy w dalszą drogę.

11.50 Przed nami kolejna górka. Droga wznosi się do góry serpentynami. Kolejny ciężki podjazd. Na pewno za tą górą widać już równinę :) Niestety, po osiągnięciu szczytu okazało się że jak okiem sięgnąć widać same góry.

12.20 Zjeżdżamy z góry. Jazda mogłaby być bardzo przyjemna, gdyby nie samochody pędzące na złamanie karku. Mimo licznych ograniczeń prędkości, informacji o fotoradarach, progach spowalniających na drodze, nikt z kierowców sobie z tego nic nie robi. Najgorzej kiedy koło roweru przejeżdża TIR – podmuch powietrza powoduje, że rowerem zaczyna rzucać na boki. Tak dłużej jechać się nie da. Znajdujemy przydrożną restaurację i wstępujemy na posiłek.

15.00 Dojeżdżamy do miasta Huedin. Chyba mieszkają tu jacyś Romsy królowie, bo zbudowano tu pełno budynków o rozmiarach małego pałacu i dachach tak fikuśnych, że nie sposób tego opisać (zapraszamy do fotogalerii z wyprawy). Na niebie zaczynają się pojawiać ciemne chmury, chyba będzie z tego padać.

16.20 Jedziemy dalej główną drogą. Co prawda nie pada, ale już mamy dość tej drogi. Ciągłe napięcie podczas jazdy, powodują że chcemy jak najszybciej dojechać do Bucea, gdzie możemy skrócić w boczną drogę.

17.30 Jedziemy boczną drogą na Bulz, wzdłuż rzeki Jad. Jesteśmy u stóp gór Pădurea Craiului, czyli "Królewskiego Lasu", gór zbudowanych przeważnie z wapieni z rozwiniętymi zjawiskami krasowymi. Jadąc po drodze spotykamy sklep. Idziemy kupić piwko i coś do jedzenia na wieczór. Niebo coraz bardziej się chmurzy. Nagle zauważamy tico z polską rejestracją! Polacy! Okazuje się, że to sympatyczna parka z Krakowa przyjechała zwiedzać tę okolicę. Akurat zaczyna mocno padać, wszyscy kryjemy się w sklepie. Tubylcy starają się do nas zagadywać, ale jakoś nie możemy nawiązać wspólnego języka. W każdym razie zapewniają że za 5 minut deszcz na pewno przejdzie. Tak też się staje, no może było to 10 lub 15 minut, ale mniejsza o szczegóły. Para z Krakowa odjeżdża a za parę minut znów widzimy dwa samochody na polskich rejestracjach. Tyle Polaków w jednym sklepie w Rumunii o jednej porze – dziwy!

18.30 Po wielu dyskusjach czy rozbijać się już tu, czy podjechać jeszcze dalej decydujemy się na to drugie. Po 15

minutach zaskakuje nas kolejna ulewa. W tym deszczu daleki już dziś nie ujedziemy, musimy szukać miejsca na nocleg. W miejscowości Bratca pytamy gdzie tu można się rozbić na biwak. Rumuni mówią, że w zasadzie wzdłuż rzeki, ale konkretnie nic nie wskazują. Jedziemy dalej, w miejscu gdzie droga zbliża się do rzeki szukamy noclegu. Spotykamy romską dziewczynę z chłopakiem, która wszystkimi językami świata tłumaczy nam, że kamping jest w prawo, prosto i w lewo. Jedziemy za jej wskazaniem. Po przejechaniu 50 m szutrową drogą natrafiamy na romskie osiedle. Nie wygląda to najlepiej: pełno psów na ulicy, dzieci bawiące się między psami, pełno ludzi. Z tyłu nadjeżdża stara rozlatująca się dacia z 10 osobami w środku. Jak na dziś to mamy dość wrażeń. Wracamy i postanawiamy szukać noclegu gdzie indziej.

19.30 Jedziemy przez Balnaca. Bardzo stromy podjazd po starym bruku. Poddajemy się i pchamy rowery pod górę. Na szczycie zaczyna się robić ciemno, włączamy światła w rowerach i zjeżdżamy w dół. U podnóża góry zauważamy ludzi z torbami, śpiworami idącymi wzdłuż drogi. Pytamy czy nie wiedzą nic o kampingu. Odpowiadają że właśnie z niego wracają, jest jakieś 300 m stąd na rzekę, a oni rezygnują z kampingu bo nadciąga burza

20.00 Znajdujemy kamping, tzn miejsce gdzie Rumuni zatrzymują się na biwak, Przepiękna sceneria. Przełom rzeki, Z jednej strony pionowe wapienne ściany o wysokości około 20 m z drugiej – lasy. Jest mało czasu na wybranie dobrego miejsca do rozbicia namiotów i rozbicie samych namiotów, ale udaje nam się. Jeden z Rumunów, widząc, że się rozbijamy przyniósł nam dwa grube palące się polana na ognisko. Mówił że zna Polaków bo pracował z nimi w Niemczech. Cieszymy się z tego prezentu, bo generalnie drzewo na ognisko było mokre i sami nie dalibyśmy rady go rozpałić. Znajdujemy jakąś starą stalową kratkę, która może służyć za ruszt do grilla. Robimy wspaniałe kiełbaski z boczkami i cebulką.

14.08. Piątek Suncuiuș-Oradea - Biharkeresztes, dystans: 93 km

7.00 Wstajemy. W świetle wschodzącego słońca dopiero można docenić piękno okolicy. Gdyby nie wszędzie porozrzucane śmieci, sceneria byłaby iście bajkowa. Całość przypomina krajobrazy jak na przełomie Dunajca.

8.30 Już mamy wyjeżdżać gdy okazuje się że Darek i Krzyś nie mają powietrza w tylnych oponach. Trzeba wymienić dętki

9.30 Ruszamy w kierunku na Oradeę. Niebo zachmurzone. Zobaczmy co będzie dalej

10.50 Dojeżdżamy do Valea Crușului. Zaczyna padać.

12.14 Jedziemy dalej w deszczu. Chcemy znaleźć jakiś bar, ale ani w Măgești, ani w Aștileu nie ma takich. W końcu znajdujemy sklep koło Aleșd, gdzie można kupić kawę z ekspresu (za 1 leja). Kupujemy kawę i ciastko, posilamy się i jedziemy dalej do Tileadg.

13.28 Znów wjeżdżamy na drogę nr 1. Oprócz swoich wiadomych wad, ma ona jedną zaletę: wzdłuż drogi są czynne bary i restauracje. Wjeżdżamy to najbliższej. Wypijamy piwko, zjadamy obiad, trochę się podsuszamy i ruszamy dalej

15.28 Dojeżdżamy do granicy Oradei. W sumie podróżowanie główną drogą nie było takie złe.

15.50 Dojeżdżamy do centrum tego 200-tysięcznego miasta. Przemoczeni i zziębnięci zwiedzamy tylko ulicę Republiki podziwiając barokową i secesyjną architekturę z czasów monarchii austro-węgierskiej.

16.10 Wyjeżdżamy z miasta kierując się na granicę węgierską. Pedalujemy mocno. W międzyczasie przestaje padać deszcz. Od razu poprawiają się nam humory.

17.00 Jesteśmy na granicy. Pobieżna kontrola i jesteśmy na Węgrzech. Szukamy kantorów, albo ludzi wymieniających walutę, ale granica jest opustoszała. Kierujemy się do Biharkeresztes.

17.50 Dojeżdżamy do stacji kolejowej w Biharkeresztes, okazuje się że za 20 minut odchodzi pociąg do Budapesztu. Wiele się nie zastanawiając kupujemy bilety i jedziemy. W pociągu przynajmniej trochę wyschniemy i się poprzeberamy.

Późno wieczorem docieramy do Budapesztu. Przepięknie oświetlony dworzec centralny. Po szybkiej wizycie w punkcie informacyjnym dostajemy plan miasta, odnajdujemy kamping na mapie i po jakieś 30-40 minutach jesteśmy na miejscu. Znowu rozbijanie namiotów po ciemku ale mamy już wprawę.

15.08. Sobota Budapeszt dystans: 31 km (po mieście)

Rano wyjeżdżamy na zwiedzanie tego pięknego miasta. Musimy jeszcze raz odwiedzić dworzec kolejowy i dopytać się o pociągi powrotne – zajmuje nam to w sumie dobre półtorej godziny.

Jedziemy sobie brzegiem Dunaju. Po lewej stronie mamy Górę Gelerta z cytadelą i Pomnikiem Wolności. Wjeżdżamy na tzw. wyspę, gdzie jest piękny park i mnóstwo ścieżek rowerowych. Później udajemy się na starówkę i na główny deptak w Budapeszcie – pełno tu turystów, kafejek i sklepów z pamiątkami. Zwiedzamy parlament, bazylikę św. Stefana, Wielką Synagogę – największa w Europie i późnym popołudniem zjeżdżamy na kamping.

Zdziwiło nas jedynie dużo policji w ochronnych strojach później już w Polsce dowiedzieliśmy się, że tego dnia miała

się odbyć jakaś demonstracja neonazistów ale na szczęście nie zakłóciło nam to zwiedzania tego pięknego miasta.

16.08. Niedziela Rajka – Bratysława dystans : 38 km

Rano wyjeżdżamy z Budapesztu pociągiem do Rajki z przesiadką w Gyor. Tam wsiadamy na rowery i jedziemy ale jakimś dziwnym trafem mylimy kierunki i jedziemy z powrotem po jakiś 15-20 minutach łapiemy się na pomyłce i zwracamy.

Przekraczamy granicę nawet za bardzo nie wiedząc kiedy i wyjeżdżamy na główną ścieżkę rowerową prowadzącą wzdłuż Dunaju do Bratysławy. Ruch spory, pełno rowerzystów i ludzi na rolkach. Po drodze mnóstwo barów specjalnie dla rowerzystów. Zatrzymujemy się na zimny napój, żar leje się z nieba jest strasznie gorąco. Dojeżdżamy wreszcie do centrum Bratysławy, kierujemy się w stronę dworca kolejowego – po krótkich poszukiwaniach miejsca na odpoczynek decydujemy się pozostać w przydworcowej restauracji, gdzie zjadamy smaczny obiad.

Wsiadamy do pociągu i późnym wieczorem docieramy do Czeskiego Cieszyna z przesiadką w Ostrawie. To już koniec naszej wyprawy. W Cieszynie żegnamy się z Tomkiem, który tu mieszka. Spod Biedronki odbiera nas znajmy busem i udajemy się do Skoczowa. W Skoczowie rozjeżdżamy się każdy w innym kierunku - zmęczeni ale szczęśliwi z kolejnej przygody i przebytej trasy.

Teraz pozostało nam tylko planować wyprawę na przyszły rok a pomysłów mamy wiele, może Ukraina, może Skandynawia a może jeszcze inne strony...

Do zobaczenia na szlaku na dwóch kółkach!

Poniżej podajemy ceny biletów wraz z przewozem rowerów na terenie Czech, Słowacji Węgrzech oraz orientacyjne ceny na Węgrzech, w Rumuni i Słowacji (może komuś się to przyda)

Wyliczenie kosztów podróży pociągami:

Cesky Tesin (1:49) – Kosice (7:07): 1971 KC (6 osób) + 420 KC (miejscówka na 6 rowerów) + 180 KC (6 rowerów płatne u konduktora) – 370 km; suma 2571 KC

Bratislava (16:55) – Cesky Tesin (21:13): 1731 KC (6 osób) + 180 KC (miejscówka na 6 rowerów do Ostravy) + 12 Euro (6 rowerów płatne u konduktora) +150 KC (6 rowerów płatne u konduktora z Ostrawy do C. Tetina) – ok. 400 km z przesiadką w Ostrava Svinov (20:00-20:26) ; suma 2061 KC + 12 Euro

Biharkeresztes (18:10) – Budapeszt Keleti: 3380x6 Ft (6 osób) + 845x6 Ft (6 rowerów) + 400x6 Ft (6 miejscówek) – 228 km; suma 27750 Ft

Budapeszt Keleti (8:40) - Rajka: 2920x6 Ft (6 osób) + 730x6 Ft (6 rowerów) – 191 km z przesiadką w Gyor; suma 21900 Ft

W sumie wydaliśmy:

49650 Ft x 0,168 = 834,12 PLN

4632 KC x 0,17 = 787,44 PLN

12 EURO x 4,25 = 51 PLN

A to daje 1673 PLN czyli po 279 PLN na głowę.

Kilka przykładowych cen:

Węgry:

Piwo: 240 – 400 FT w knajpie;

Brzoskwinie - 12 szt: 300 FT

Wino 2 l w kawiarence, w Tokaju: 900 – 1200 FT

Kamping w Budapeszcie: 5300 FT za namiot i dwie osoby

Kamping w Tokaju: 1000 FT za osobę (namiotu na liczą)

Słowacja:

Piwo: 1-1,2 Euro w knajpie;

Drugie danie w Bratysławie (mięso, frytki, surówka): 7-8 Euro

Rumunia:

Chleb duży krojony: 1,9-2,8 RON

Piwo: 2,5 – 4 RON w knajpie

Cibora de Burta: 6,5-8,5 RON + osobno kasują za chleb

Kotlet schabowy z frytkami: ok. 8-14 RON

Mamałyga: 7-9 RON

Kamping w Gilau: 122 RON za 6 osób i 4 namioty